

Korespondencja z Piekła – 5

14 stycznia 2019

Poemat o miłości

Mógłby doktor dać na święta trzydziestkę Metadonu więcej – powiedział do mnie jeden z pacjentów, o wyglądzie wielkoluda, pod którym, aż skrzypnęło krzesło w momencie, gdy siadał. Początkowo myślałem, że to żart, ale jego mimika i intonacja temu przeczyły. Cholera, on to mówi serio – dotarło do mnie po chwili. Matka zawsze kupuje jakąś lepszą wódkę z tej okazji, jakiegoś Pana Tadeusza, albo droższą i pozwala pić ile chcę, a ja chciałbym tu tylko trzydzieści mililitrów więcej Metadonu – mówi zasępiony.



Przecież to lekarstwo, a leków raczej nie rozdaje się w prezencie, a na pewno nie na tym oddziale. Na bajzlu jedynie, jeśli diler ma taką fantazję, to może kopsnąć ci centa helupy (heroina) więcej. Poza tym i tak dostajesz 160 ml dziennie, chodzisz półprzytomny, zasypiasz na krześle i normalnie jesteś naćpany. Nawet przy twoich dwóch metrach i 150 kg to olbrzymia ilość. Wcale się nie zdziwię, jeśli lekarz będzie pomału zmniejszał dawkę. Z sadystyczną dokładnością wytłumaczyłem mu całkiem możliwą przyszłość. – Nie, nie zmniejszy, przecież

jestem na programie – odpowiedział. – Tak, ale właśnie po to raz w roku metadonowi kładą się na oddział, żeby lekarz mógł ocenić działanie poprzednio zapisanej dawki. Jeśli uzna, że chodzisz naćpany, to ci zmniejszy. To lek, a nie napój rekreacyjny – nie odpuszczałem, chociaż jego zasępiona mina lekko mnie przyhamowała i postanowiłem delikatnie zmienić temat. – Wyobraź sobie tych, którzy Metadonu nie piją? To, co, powinni domagać się trzech Clonazepamów więcej? Albo ja, biorę jedynie jeden Suboxon ósemkę i to rano? Fajnie byłoby dostać też wieczorem. Prawda? – zapytałem. – Niby tak – odpowiedział. – Ale co mu szkodzi ta trzydziestka – dodał olbrzym, powoli podnosząc się z krzesła. Widać było wyraźnie, że wciąż nie może się pogodzić ze swoją dawką. Lepiej bym się poczuł – dodał wychodząc, dziwnie długo akcentując pierwszą sylabę słowa „poczuł” – tak jakby chciał wziąć mnie na litość, chociaż nie mam żadnej mocy sprawczej, by tę dawkę mu zwiększyć. – Wydaje mi się, że ciągłym chodzeniem do doktora i domaganiem się tej trzydziestki tylko pogorszysz swoją sytuację, bo gdy podejdziesz do niego naćpany, to może ją zmniejszyć. – To nie naćpanie, dają mi też Haloperidol – powiedział znowu dziwnie akcentując pierwszą sylabę ostatniego słowa. – Co? – nie mogłem uwierzyć. Haloperidol, to lek, który daje się agresywnym pacjentom, lek, który paraliżuje ciało, pozostawiając mózg w pełnej świadomości. A przecież olbrzym normalnie funkcjonuje. To nie że być Haloperidol – upierałem się przy swoim. Widziałem pacjentów, którzy padali na posadzkę po jednym zastrzyku. – Stosuje się go wobec osób agresywnych – wciąż nie mogłem uwierzyć. – No właśnie – (teraz akcent padł na „łaś”), dlatego jestem taki spokojny. Pójdę już, powiedział, ale po tej trzydziestce poczułbym się lepiej.

– Tu akurat masz rację, z pewnością poczułbyś się jak w niebie – zdążyłem jeszcze powiedzieć nim wyszedł z sali.

Mnie to już nie dotyczy, przechodzę na program i będę brał jedynie Suboxon, czyli Butronorfinę. Poza tym nie dostaje żadnych innych leków. Prawdopodobnie będę na to skazany już na

całe życie. Prawdopodobnie, bo jak będzie? Czas pokaże. Mam już jednak dość wiecznego szarpania się z nałogami, ciągłych powrotów na jakieś odtrucia czy detoksy, kolejnych terapii, po których jakiś czas utrzymuję trzeźwość, by znienacka rozwalić wszystko. Dosłownie i w przenośni.

Detoks dla narkomanów to specyficzny oddział, często mylony z leczeniem uzależnień czy nawet terapią. Pacjenci zresztą sami chętnie utwierdzają bliskich w tym przekonaniu. Rodzina zwykle im wierzy, a odwirowany pacjent z lekko podreperowanym zdrowiem i wypisem w rękę zasuwa do najbliższego diler.

Jeżeli jest to osiemnasto-, dziewiętnastoletni dzieciak – to rodzice natychmiast wysyłają cały stos donosów do dyrekcji szpitala, w których domagają się wyciągnięcia konsekwencji wobec ordynatora. Bo przecież miał wyleczyć ich dziecko z narkotyków. Nikt im tego nigdy nie obiecywał, ale takie jest właśnie powszechne myślenie. Nawet nie zadali sobie trudu, by zapytać na czym ten detoks polega. Ale powaga kompleksu szpitalnych budynków tworzy w głowach pewną imaginację z pogranicza magii i medycyny, przed którą nie sposób nie poczuć respektu.

Drodzy rodzice, opiekunowie oraz nieświadomi pacjenci. Detoks nie jest terapią, to jedynie pierwszy krok. Detoks leczy tak zwany zespół abstynencyjny, czyli zwykły, narkomański głód lub heroinowego skręta, czasami też alkoholowego kaca, chociaż dla alkoholików jest osobny oddział, to mimo wszystko czasami tu trafiają. Nic więcej. Ale leczy to, z czym uzależniony sam nigdy sobie nie poradzi. Owszem słyszałem różne historie o kozakach, którzy samodzielnie się wyzerowali. Jednak po przekroczeniu tej cienkiej, niewidzialnej linii samemu dokonać tego się nie da. Jest to niemożliwe. Sam też wielokrotnie próbowałem. A to zmniejszałem dawki, chcąc dojść do zera, a to radykalnie z dnia na dzień odstawiałem. Rezultat jest taki, że co kilka lat ląduje w tym szpitalu, gdzie jakimś cudem przywracają mnie do życia. Nałogowiec nie ma silnej woli, w tej chorobie coś takiego nie istnieje. Im wcześniej to

zrozumiemy, tym lepiej. Na ten oddział zgłaszają się ludzie uzależnieni od wszystkich substancji. Od alkoholu po heroinę. Niektórzy z tzw. uzależnieniem krzyżowym bądź mieszanym – czyli od kilku środków jednocześnie. Zgłaszają się w różnym stanie i nie będzie przesadą, jeśli napisze, że doktor Andrzej Kaciuba ratuje życie porównywalnej liczbie niedoszłych umrzyków, co przeciętny OIOM w dużym mieście. Potwierdzi to zresztą prawie każdy narkoman, który tutaj przebywał. Dopiero po detoksie, czyli oczyszczeniu, odwirowaniu – można myśleć o jakiejś terapii.

Wybór w Polsce jest skromny i najczęściej odsyłają do różnych anonimowych klubów, które według stereotypu, jako jedyne zajmują się leczeniem. Niektórzy przypominają sobie, że istnieje coś takiego jak MONAR, ale są też specjalne przychodnie NFZ, oddziały przyszpitalne z wysoko wykwalifikowanym personelem, które pod kontrolą lekarza zajmują się leczeniem. Dochodzę pomału do wniosku, że każdego można wyleczyć, musi jedynie trafić w odpowiednie dla siebie miejsce. Kilka lat temu, pewna terapeutka z MONARU uznała, że jestem opętany i załatwi mi egzorcyzmy – to nie jest żart, są też tacy terapeuci. Dlatego proponuję przejść tę koszmarną drogę poprzez państwowe placówki. Chociaż to syzyfowa praca, ale wystarczy wmówić Syzyfowi, że celem jego życia jest samo toczenie kamienia, a nie wtoczenie na górę i życie nabiera sensu. Jak zwykle wymądrzam się, a sam nie mam już siły pchać tego kamienia. Nie mam jednak wyjścia. I zrobić coś muszę.

Iza

Nie da się nie zwrócić na nią uwagi. Wyjątkowo piękna i zgrabna dwudziestodziewięciolatka. Jest stałą pacjentką tego oddziału. Zapytałem ją, co tutaj robi. Przecież musi być świadoma swojej urody. Wykorzystując ten atrybut mogłaby brać najlepsze narkotyki na pokładzie luksusowego jachtu gdzieś w okolicach Lazurowego Wybrzeża. Kieruje mną miłość – odpowiedziała – po prostu kocham Marcina. Ich związek już

dawno mnie fascynował, znam Marcina od dziecka, ma 45 lat. Widywałem, więc ich również poza szpitalem. Marcin także jest uzależniony, też bierze Metadon, ale nałóg trwale odcisnął swoje piętno na jego wyglądzie. Iza, szesnaście lat młodsza, od dziesięciu lat uzależniona jest od heroiny, cztery lata na programie metadonowym, a mimo wszystko narkotyki nie narobiły specjalnych szkód w jej wyglądzie. Kilka dni temu Marcin zadzwonił na detoks i powiedział, że zginęła mu jedna buteleczka Metadonu – to dzienna porcja. Iza bez wahania zadzwoniła do punktu, w którym jest on wydawany, że chce mu oddać swoją porcję, której nie weźmie w szpitalu. Oczywiście z przyczyn moralno-formalno-prawnych było to niemożliwe. Stawała jednak na głowie, by w jakiś sposób stąd – z oddziału – zdobyć mu ten Metadon.

Jego brak, to dla heroinisty katorga, niewyobrażalne cierpienie – tym bardziej, że Iza bierze go od czterech lat.

Ten związek zaintrygował nie tylko mnie. Pewna studentka postanowiła napisać o nich pracę magisterską. Gdy ją obroniła zaprosiła oboje na wystawny obiad.

Marcin odwiedzał Izę na detoksie. W dniu, gdy się go spodziewała, wyczekiwała w oknie. A gdy już się pojawił, nawet w wypełnionej świetlicy, wydawali się być sami.

Zapytałem kiedyś Izę, czy jest szczęśliwa, bo ma taką aurę jakby była? – Czy można być szczęśliwym mając HIV i HCV? – zapytałem. Nie zarazili się od siebie, ot zwyczajnie używali w większej grupie jednej strzykawki.

– Można – odpowiedziała pewnie i spod stanika wyjęła zdjęcie Marcina – zawsze je ze sobą noszę powiedziała. – Jeśli Marcin umrze wcześniej niż ja, to ogolę głowę i pojadę do aśramu dla wdów. Jestem szczęśliwa, bo mam miłość – dodała.

O Marcinie mówi mąż, chociaż w myśl polskiego prawa małżeństwem nie są, wzięli ślub hinduistyczny, a swój związek oddali Krisznie.

Iza, podobnie jak Gacek opuściła już oddział. Oboje z Marcinem wyrazili zgodę na publikację ich prawdziwych imion. Mam jednak wątpliwości, czy je zmienić czy też nie. W pięćdziesięciotysięcznym mieście nietrudno domyślić się, o kim jest ta opowieść. Z drugiej strony, chciałbym utrwalić to uczucie w jego oryginalnej formie, a jakakolwiek ingerencja naruszy tę magiczną przestrzeń. Są szczęśliwi, a wielu ludzi tego szczęścia im zazdrości. Publikując prawdziwe imiona, naraziłbym ich na taką właśnie zawiść. Cóż, mam dylemat? A Ty drogi czytelniku – nie masz pewności czy imiona są prawdziwe czy też nie.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info